

Długi cień DDR

Przed premierą monodramu „DDR” podczas festiwalu Teatr w Remizie w Helu Grażyna Marzec zastrzegła się, że to będzie tylko czytanie. Nic bardziej mylnego.

TOMASZ MILKOWSKI

Nawet w wydrukowanym programie nad data 13 lipca zostało napisane: „Monolog czyta Grażyna Marzec”. To mi przypomina notkę w programie „Wieży malowanej”, legendarnego spektaklu warszawskiego STS-u (1959), który inaugurował współczesne dzieje teatru jednego aktora w Polsce: „recytuje Wojciech Siemion”. Wtedy także twórcy unikali deklaracji, że to jest pełen spektakl. A jednak był. Teraz także to był pełen spektakl, a fakt, że prawie cały tekst monologu był przez aktorkę naprawdę czytany – wyjąwszy ostatnie parę zdań – idealnie wpisywał się w fakturę tego monologu, skonstruowanego z listów, pisanych przez bohaterkę i potajemnie przekazywanych ukochanemu.

Rzecz dzieje się w czasach, kiedy żelazna kurtyna dzieliła Europę. Ona, Renata, mieszkanka wschodniego Berlina, koresponduje ze swym duńskim wybrankiem. Mężatka, matka dzieciom, wdaje się w ryzykowny (politycznie) romans z Duńczykiem, grożą jej represje za kontakty z podejrzanym burżuazyjnym elementem, w NRD nie było z tym żartów. Ich związek rodzi się podczas pobytu Renaty w Kopenhadze, jako tłumaczka bywa w Danii od czasu do czasu, ale na co dzień dzieli ich granica, pozostają więc listy tajemnie przekazywane za pośrednictwem... dziupli w parkowym drzewie, niczym w filmie szpiegowskim.

Kiedy już się wydaje, że ich tajny związek został wykryty i Renata spodziewa się najgorszego, zostaje nieoczekiwanie odznaczona za zasługi dla NRD. To rodzi euforię; będzie mogła znowu pojechać do Danii! Renata zdaje kochankowi sprawę ze wszystkiego, co się wokół niej dzieje. Nie są to zdarzenia wielkiej wagi, raczej drobne wypadki, niekiedy relacje z rodzinnych spotkań, czasem zapisy leków towarzyszących pracy w warunkach opresyjnego systemu. A przede wszystkim wyznania kobiety stęsknionej miłości.

Grażyna Marzec snuje tę opowieść z rosnącą emocją, kiedy dochodzi do wyznania uczuć, poddajemy się jej uniesieniu, tak jak opada w nas



emocja, gdy opowieść przybiera melancholijny ton, a niekiedy gorzki. Kiedy wychodzi na jaw, że najbliższy przyjaciel domu, ich obojga, męża i jej, systematycznie składał raporty służbie bezpieczeństwa ze spotkań z przyjaciółmi, trudno uciec od bezbrzeżnego smutku. Nic Renacie nie będzie oszczędzone. Gdy pada wreszcie mur berliński, a więc wówczas kiedy rozłączeni granicami kochankowie, mogliby być razem, okaże się, że to niemożliwe. Ich związek okazuje się pozorem, a potajemna wymiana listów kryła mroczną, wcale nie romantyczną tajemnicę. Jej wysniony kochanek Tom rozwiewa się jak mgła. Bez śladu. Osamotniona Renata, po śmierci męża, rozpamiętuje latami dzieje swojego uczucia, wspomina namiętność, która mimo rozczarowań wcale nie

wygasa, choć straciła swoją dawną świeżość.

Smutna to i piękna opowieść, odsłaniająca wewnętrzny dramat kobiety, uwikłanej w pajęczą sieć zależności od systemu, poczucia obowiązku i porywów uczucia, które stale kontrolowane i powściągnięte, prowadzą do wewnętrznego rozchwiania.

W ascetycznej formie spektaklu, podzielonego na trzy części, zgodnie z rytmem listów wysyłanych w różnym czasie, rozgrywa się ta smutna opowieść Petera Asmussena, oparta zresztą na rzeczywistym pakiecie listów, odnalezionych przez zmarłego w tym roku duńskiego dramaturga.

Tytuł „DDR”, jaki nadał temu monologowi, jest dwuznaczny. Z jednej strony odwołuje się do niemieckiego skrótu nazwy nieistniejącego już państwa, NRD, z drugiej strony

przywołuje duńskie brzmienie trudno przetłumaczalnego na polski idiomu „Det Der Er”, który oznacza „coś, co istnieje” albo po prostu „to”. W tej dwuznaczności kryje się metaforyczny sens dramatu, który dotyczy spraw już przebrzmiałych i epoki minionej, czasów NRD, ale jednocześnie czegoś, co rzuca swój długi cień na czas współczesny. Duńczykom dramat przypadł do gustu, krytycy nominowali go do Nagrody Reumerta, najważniejszego w Danii wyróżnienia teatralnego. Także kopenhaska premiera w wykonaniu Karen-Lise Mynster spotkała się z bardzo dobrą oceną recenzentów.

Peter Asmussen, ceniony za umiejętność subtelnej analizy psychiki, za delikatność i czułość dla drobiaźgów i smutek (niewiele w jego tekstach optymizmu, dominuje w nich, jak twierdzi tłumacz Paweł Partyka, poczucie, że świat nie został najlepiej zmajstrowany) odnalazł drogę do widzów nie tylko w Danii, ale także w wielu krajach europejskich. Pomógł zapewne w tym jego scenariusz do znanego filmu Larsa von Triera „Przełamując fale”. W Polsce też coraz głośniej o jego sztukach, wystawianych w kilku teatrach. W ubiegłym roku ukazał się tom jego dramatów nakładem AdiT, „Śmierć jest innym gatunkiem muzyki. Dramaty wybrane”.

Premiera monodramu Grażyny Marzec nie przypadkiem miała miejsce w Helu – to tutaj właśnie, dziesięć lat temu razem z mężem Olgierdem Łukaszewiczem zakładali Teatr w Remizie (czynnej), który wkrótce stał się dorocznym festiwalem. Tamten festiwal, przed dziesięciu laty rozpoczął się spektaklem Olgierda Łukaszewicza „A kaz ta Polska, kaz ta” do słów Stanisława Wyspiańskiego – grał go przez siedem kolejnych dni. W tym roku nie mogło zabraknąć tego monodramu. Spektakl skomponowany przez artystę z nieśmiertelnych wyimków z „Wesela” i „Wyzwolenia” inaugurował dziesiątą edycję Festiwalu w Remizie.

Prowadzili ten festiwal Grażyna Marzec i Olgierd Łukaszewicz przez pięć lat. Kiedy udali się z tym pomysłem do helskich władz, proponowano

im rozmaite miejsce na teatr, na ogół bardziej „wytworne sale”, ale ich wybór padł na remizę, z doskonałą akustyką i surowością takiego wnętrza. Wybór okazał się trafny i trwały. Zapraszali do udziału w festiwalu swoich przyjaciół i bliskich znajomych, a kiedy, jak mówią, lista znajomych się skurczyła, udało się namówić Wiesława Gerasa, który od pięciu lat kontynuuje ich dzieło. Z sukcesem, niekiedy oszałamiającym – tym razem prawdziwie uskrzydłony wyjeżdżał po spotkaniach z helską publicznością litewski aktor, Aleksandras Rubinovas, przyjmowany owacjami na stojąco. Przedstawił swój monodram „Kobo”, nawiązujący do dramatycznych czasów stalinowskich. Specjalnie dla polskiego widza monodram „Kobo”, który zwykle prezentuje po litewsku lub rosyjsku, przygotował w języku polskim.

To właśnie Wiesławowi Gerasowi zawdzięczamy, że Grażyna Marzec dała się namówić na tę sceniczną „lekturę”. Kiedy odeszła na emeryturę, bardzo rzadko wracała do swego zawodu, czasem w serialu, czasem w jakiejś recytacji. Tym razem jednak udało się ją namówić na monodram, dzięki czemu widzowie znów mieli szansę spotkać się z jej talentem. Niepokojący głos Grażyny Marzec, dość niski, perfekcyjnie modulowany, o dużej rozpiętości, wibrujący zmiennością melodii, nieskazitelną dykcją, siłą i delikatnością zarazem – to wszystko sprawia, że słucha się jej monologu Renaty z wielkim napięciem. Publiczność podąża za nią, prawie wstrzymując oddech, zasłuchana i skupiona.

To wielka radość, że znowu mogliśmy zobaczyć ją na scenie, co więcej, że tym spektaklem o wyrazistej linii dramatycznej, odnowiła nieco przygasły dzisiaj nurt monodramu w listach. W historii polskiego teatru jednego aktora zapisał się on nie lada osiągnięciami, by przypomnieć spektakle Haliny Mikołajskiej („Listy do pani Lespinasse”, 1964) i Haliny Stojewskiej („Wybrałam odwagę” na podstawie listów Róży Luksemburg, 1966). Teraz swój rozdział w tym specyficznym gatunku otwiera Grażyna Marzec.